ACTA UNIVERSITATIS WRATISLAVIENSIS
No 3367
PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACJI LXXXVI
WROCŁAW 2011

ARTUR ŁAWNICZAK
Uniwersytet Wrocławski

PRAWNO-POLITYCZNA TRADYCJA EUROPY A UNIA EUROPEJSKA

Unia Europejska siłą rzeczy jest częścią europejskiej tradycji prawno-politycznej, skoro funkcjonuje na Starym Kontynencie i została powołana do życia przez takich przedstawicieli jej elity, o których nie można powiedzieć, że ewidentnie odcinali się od przeszłości. Niemniej jak najbardziej otwarta pozostaje kwestia relacji między UE a tym, co możemy nazwać mainstreamem eurodziejów — podstawową linią rozwojową, jeśli przyjmiemy założenie, że takowa istnieje.

Najprostszym jej ujęciem byłaby wizja brukselsko-strasbursko-luksemburskiej Unii jako wytęsknionego powrotu do mitologizowanego Imperium Romanum[1]. Po stuleciach chaosu i wewnętrznych wojen wkraczamy w przywróconą epokę Wielkiej Jedności, która winna stać się naszym Końcem Historii, heglowską logiczną i ostateczną Całościową Syntezą, oznaczającą finalne zwycięstwo Rozumu nad Ciemnymi Wiekami.

Jednak owe długie czasy pełne zamętu stwarzają istotny problem, gdyż wydaje się, że to jednak one stanowią kulturowo-polityczną europrzeciętną, występującą w najrozmaitszych odmianach przez prawie całe średniowiecze i nowożytność. Europa była podzielona, co nie przeszkodziło jej bynajmniej w dokonaniu dzieła podbicia olbrzymich połaci ziemskiego globu. Po ich utracie, po samobójczych dwóch wojnach światowych, blade cienie niegdysiejszych potencji postanowiły się połączyć, aby pod osłoną USA stawić odpór bolszewikom, „przezwyciężyć upiory przeszłości" i wzajemnie się podtrzymywać w kulawym i nieśmiałym mar-

[1] Tęsknota za eurojednością nigdy nie wygasła. Na przykład w okresie międzywojennym przejawiła się w paneuropejskiej wizji hrabiego Ryszarda Coudenhove-Calergiego (Kalergiego?). Wykształceni Europejczycy w drugiej połowie XX wieku pamiętali o projekcie Unii Paneuropejskiej, mającej być Neocesarstwem: „Koncepcja Paneuropy […] to jest koncepcja stara […]. Coś podobnego, podobne dążenia do stabilizacji i pokoju, przeżywała Europa po wędrówkach ludów. Ówczesna ludność Europy też miała dość wojen. Chciała spać spokojnie, odpocząć. I wtedy właśnie przyszła, podsunięta przez Kościół, dawna koncepcja Imperium Rzymskiego: stworzenie cesarstwa nowego, cesarstwa obejmującego wszystkich chrześcijan Europy", M. Maliński, *Cesarstwo*, [w:] *Eseje na wybrane tematy z historii Kościoła*, Poznań-Warszawa-Lublin 1973, s. 118–119.

© for this edition by CNS

szu w mocno niepewną przyszłość[2]. Wspólne wysiłki drugoplanowych na światowej scenie graczy mają przynieść efekt w postaci zajęcia pozycji w pierwszym szeregu, odzyskania, mówiąc słowami generalissimusa Stalina, godziwego „miejsca pod Słońcem, które nareszcie pokaże się w pełnej krasie również na naszej ulicy". *Viribus unitis* Europejczycy mają udowodnić sobie i zadziwionej ludzkości, że nie zapomnieli o dawnych cnotach i stać ich na heroiczne dokonania.

Tyle tylko, że mają one mieć antyrasistowski, antyseksistowski, antynacjonalistyczny, antyfundamentalistyczny i antytradycjonalistyczny charakter, gdyż domagają się tego współcześni kowale Jedynie Słusznego Europaradygmatu. Jeśli ma się on stać ideową treścią kontynentalnej rzeczywistości społeczno-politycznej, to trzeba skutecznie wytrzebić z niej pozostałości po politycznie niepoprawnej przeszłości, przeszkadzające w konstruowaniu Nowego Wspaniałego Euroświata. Owa liberalno-socjalistyczna utopia, jak każda, domaga się rozległego przekształcenia zarówno bazy, jak i nadbudowy. Jeśli założymy, że istnieje taki zamiar, a wiele na to wskazuje, wówczas wymarzony Europejski Wspólny Dom będzie stać na fundamencie w postaci zmielonej do imentu Starej Europy. Na jej truchle inżynierowie dusz i sumień wzniosą szklane domy dla pozbawionych zabobonów i przesądów Europejczyków Nowej Generacji, a Staruszek Świat wstrzyma oddech z zachwytu, gdy ujrzy ich Świetlisty Marsz w Bezchmurne Jutro.

Owa próba zmiany europejskiego paradygmatu cywilizacyjnego, gdyby się powiodła, stanowiłaby największe wydarzenie w eurodziejach od czasu chrystianizacji Starego Kontynentu. To wiekopomne zwycięstwo „szaleńczej sekty bliskowschodniej" do dzisiaj spędza sen z powiek wyznawcom Religii Rozumu, którzy od czasu do czasu próbują przezwyciężyć na zawsze „barbarzyński zabobon". W ewidentny sposób takie zamiary doszły do głosu podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej oraz Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Ich laickie hasła cieszą się sporą popularnością w kierowniczych kręgach UE, jednak zwolennicy obecności chrześcijaństwa w życiu publicznym nie złożyli jeszcze broni, o czym świadczy chociażby nasilająca się wojna o zdjęcie lub pozostawienie wiszących w parlamentach, szkołach czy urzędach krzyży[3].

Dla radykalnych wolnomyślicieli oficjalne pozbycie się „wielowiekowego balastu ćmiących rozum przesądów" oznaczałoby ostateczne zerwanie sojuszu,

[2] Atakująca nas w dzień i w nocy obsesyjna propaganda eurojedności wydaje się oddawać stan głębokiej niepewności jej animatorów, którzy głośnymi zawołaniami starają się przekonywać zarówno konsumentów medialnej nawałnicy, jak i samych siebie. „Kupą, mości Panowie!" ma być hasłem, którego ulękną się wrogowie i drżąc ze strachu, pochowają się w swoich ponurych jamach, nad którymi po wsze czasy będzie dźwięczał równy krok zwycięskich eurokohort. To taki sobie Eurosen o Szpadzie, który, przynajmniej na razie, nie zamierza się ziścić.

[3] Stanowi ona współczesną wersję sporu protestantów z katolikami o sens ozdabiania ścian kościołów obrazami przedstawiającymi świętych, co jest sprzeczne z duchem Starego Testamentu. Ideowi następcy obrazoburców również, świadomie lub nie, realizują „wytyczne" mozaizmu, dla którego wszak Krzyż jest „znakiem obrazy". Ma go zastąpić pusta, piękna w swej dziewiczości biała ściana, wyrażająca bezmiar europejskiej tolerancji.

© for this edition by CNS

jaki zawarł z papiestwem rudymentarny wszak Europejczyk Karol Wielki. Wymagała tego ówczesna „mądrość etapu". Na aktualnym etapie rozwoju według postępowców papiestwo nie jest już do niczego potrzebne. Wszak lansowana *urbi et orbi* ideologia praw człowieka ma nowocześniejszych, bardziej *trendy* propagatorów, których działalność nie jest obciążona ryzykiem powiedzenia czegoś *demodé*, co wciąż zdarza się następcom św. Piotra. Dlatego też zadawanie się z nimi jest „obciachowe". Są oni, niezależnie od takich czy innych PR-owskich zagrywek, za bardzo związani z bagażem Ciemnych Wieków. Nie można też zapominać o tym, że w przeszłości niejednokrotnie nie przejawiali szczególnego entuzjazmu względem podejmowanych przez różnych następców Karola prób politycznego zjednoczenia Europy. Aktualnie ich „obsesyjnego przywiązania" do depozytu Wiary nie można zakwalifikować jako jedynie dzisiaj słusznego elastycznego podejścia, niezbędnego w czasach nacechowanych tolerancją, wychodzeniem naprzeciw racjom i oczekiwaniom innych.

To poczucie rozdrażnienia niezależnością papiestwa nie jest rzecz jasna nowym zjawiskiem. W wymiarze politycznym najważniejszymi osobami, które go doświadczały, byli cesarze, roszczący sobie pretensję do zjednoczenia pod swoim berłem mieszkańców Europy. Dlatego też Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego stanowi najbardziej oczywisty archetyp Unii Europejskiej, twór, na który można się przede wszystkim powoływać, gdy będziemy szukać przykładów nadawania idei zjednoczenia Europy instytucjonalnych form[4].

Cesarstwo czy też imperium to byt nie tylko polityczny, lecz także metapolityczny, noszący w sobie potężny ładunek cywilizacyjno-kulturowy, w którym w przeszłości europejskość wyrażała się w większym stopniu niż w papiestwie, mającym bardziej globalny wymiar. Pojawił się on również w „nieznającym nocy Imperium Habsburgów", ale okazał się zjawiskiem znacznie bardziej ograniczonym w czasie niż wszechświatowość biskupów Rzymu. *Genius loci* Wiecznego Miasta został wykorzystany przez architektów *Novus Ordo Europae*, gdy podpi-

[4] Tęsknota za Cesarstwem przenika serca oraz umysły „współczesnych dyplomatów i analityków polityki zagranicznej, ubolewających nad nieobecnością »transnarodowych instytucji«, zdolnych prowadzić światowe interesy z zimną krwią starego Cesarstwa Rzymskiego. W obliczu chaosu nieuregulowanych rynków kapitałowych — wraz z nieuczciwymi państwami i renegackimi ideologiami […] niedoszli twórcy postmodernistycznego pokoju marzą o wyśnionym przez Gibbona »najwyższym dostojniku, któremu dzięki rozwojowi wiedzy i pochlebstw stopniowo przypisywano by wzniosłą doskonałość Wieczystego Ojca i Wszechmogącego Monarchy«. Oktawian August wysłuchałby ich z radością". L.H. Lapham, *„Furor Teutonicus". Las Teutoborski, 9 rok n.e.*, [w:] *Gdyby…Całkiem inna historia świata. Historia kontrfaktyczna*, Warszawa 2008, s. 77. Wizja może być pociągająca, tylko skąd wziąć odpowiedniego Najwyższego Dostojnika? Nowożytne europejskie wcielenia tego ideału w osobach Napoleona i Hitlera uległy naporowi wrogów, a na dodatek ten ostatni nie ma zbyt dobrej prasy (choć powoli ta sytuacja się zmienia). Aby zapobiec zatem dyktaturze, która byłaby realizowana przez jakiegoś hitleroida, w eurostrukturach lansuje się kolektywizm, który wszakże nie jest w stanie zmaterializować Ducha Imperium, bo „Wieczysty Ojciec" nie przyjmie postaci komisji.

© for this edition by CNS

sywano nad Tybrem w 1957 roku traktat rzymski, jednak póki co Kościół rzymskokatolicki pomimo trapiącego go kryzysu jest funkcjonującą instytucją, wzbudzającą większe zaufanie niż Eurounia, czego nie można powiedzieć o Cesarstwie, gdyż już go nie ma.

UE bardziej przypomina nie długotrwałe cesarstwo usadowione w Germanii, lecz efemeryczny twór stworzony przez Napoleona. Jego system kontynentalny ogarnął całą „właściwą Europę" na zachód od rosyjskich rubieży. Wyrażał się w pasji uniformizacji, przymusowego zaszczepiania euroludom francuskich wynalazków[5]. Wraz z lokalnymi systemami miar i wag Mały Kapral likwidował niemieckie i włoskie państewka, przygotowując w ten sposób grunt pod silne narodowe państwa, które wypróbowały swe możliwości w ogniu dwóch wojen światowych.

Na razie nie wiemy, co wyniknie z posiewu „brukselskich panów", ale historia poucza, że wszelkie wyzbyte organiczności twory polityczne pozostawiają w spadku zupełnie nieprzewidziane przez ich twórców dziedzictwo. Na naszych oczach rozkręca się Europejska Wojna Domowa między starymi ludami a przybyszami z innych kontynentów, której towarzyszą konflikty wśród imigrantów, przeniesione z ich pierwotnych siedzib. Być może te „wojny antykolonialne" będą największym problemem aktualnego stulecia, ustanawiając nową jakość w porównaniu do zdecydowanie wcześniejszych większych i mniejszych konfliktów wywoływanych przez kolonizatorów, podbijających zamorskie obszary i strzelających do siebie w trakcie ustalania, komu się one należą. „Przezwyciężanie przeszłości" przez Europejczyków z wydatnym udziałem wspólnotowych przedsięwzięć stworzyło powoli urzeczywistniającą się perspektywę przeniesienia międzyplemiennych rzezi z różnych „jąder ciemności" nad Mozę czy Hawelę. Od czasu wtargnięcia Madziarów na Wielką Nizinę Węgierską Europa nie miała do czynienia z imigracją o porównywalnym znaczeniu. Ugrofiński lud pomimo ewidentnej odrębności językowej zaaprobował wartości swoich nowych sąsiadów i od ponad tysiąca lat stanowi trwały element europejskiej rzeczywistości społeczno-politycznej, niejednokrotnie wykazując nawet większe przywiązanie do tradycji Starego Kontynentu niż dłużej osiadłe w zachodniej Eurazji narody. Istnieją poważne przesłanki do formułowania hipotezy o niepowtarzalności tego schematu w przypadku Turków, Kurdów czy Marokańczyków, odpornych w swojej masie na nieśmiałe próby asymilacji i uczuciowo związanych z krajami pochodzenia, gdzie pozostali krewni. W przeciwieństwie do przodków Ludwika Kossutha i Viktora Orbána nie przenieśli oni większości ich etnosu do nowej ojczyzny, co wywołuje w ich duszach rozdarcie. W poszukiwaniu tożsamości palą samochody i ścierają się z siłami porządkowymi na przedmieściach euroaglomeracji. Dymy z podpalonych opon zasnuwają szarym

[5] Najzabawniejsza jest historia podobno prawdziwego powodu zaordynowania nakazu wprowadzenia we wszystkich zajętych krajach ruchu prawostronnego. Twierdzi się, że Korsykański Potwór dzięki tej regulacji chciał chwytać angielskich szpiegów, odruchowo poruszających się lewą stroną traktów.

© for this edition by CNS

welonem europrzyszłość, każąc głęboko się zadumać nad perspektywami „Europy Bez Podziałów", w której międzypaństwowe granice są zastępowane etniczno-cywilizacyjnymi murami, oddzielającymi zamieszkane przez Trzecioświatowców getta od dzielnic coraz bardziej przestraszonych potomków kolonizatorów, sparaliżowanych przez psychiczny gorset politpoprawności.

Cesarsko-papieska Europa miała poczucie wyraźnej odrębności od reszty świata. Nie uległo ono osłabieniu, a wręcz przeciwnie, po emancypacji gallikańskiej Francji oraz protestanckich monarchii, które dokończyły dzieło podboju innych kontynentów i z całym przekonaniem niosły „brzemię białego człowieka". Wraz z dokonywanymi podbojami rosło przekonanie o własnej wyższości. Zasadzało się ono na ewidentnej przewadze technicznej i organizacyjnej nad zamorskimi tworami państwowymi, które nie były w stanie przeciwstawić się naporowi „Franków" względnie „długonosych zamorskich diabłów". Jeśli któryś z nich został skrzywdzony przez buntujących się tubylców, metropolia wysyłała kanonierki, które zmuszały rebeliantów do wypłacenia odszkodowania, obietnicy posłuszeństwa i *nolens volens* uznania większej sprawności Europejczyków. Byli oni prawdziwymi Żelaznymi Wilkami. Natomiast dzisiaj zasadniczo opowieści o ich wyczynach brzmią dla przeciętnych konsumentów medialnych treści jak bajki z mchu i paproci w zestawieniu z postawą niderlandzkich wojaków w Srebrenicy, wydających powierzonych im cywilów w zamian za własne bezpieczeństwo. Z kolei przedstawiciele sił zbrojnych RP są sądzeni za ostrzelanie afgańskiej wioski, pomimo że w epoce demowojen właściwie każdy mieszkaniec pacyfikowanego terytorium jest zadeklarowanym lub ukrytym wrogiem. Tyle tylko, że oficjalnym zadaniem interwentów jest krzewienie ludowładztwa. Mają oni zwalczać terrorystów, a pozostałą ludność wychowywać, co jest zadaniem niewykonalnym, gdyż nawrócić innowierców mogą tylko ludzie pewni swojej tożsamości i nietolerancyjnie głoszący własne racje. Dzisiejszy europejski amalgamat cywilizacyjno-ideowy nikogo nie jest w stanie naprawdę przyciągnąć, gdyż jest zbyt złożony, niezrozumiały dla samych mieszkańców UE, którzy w związku z tym nie są w stanie przekazać innym w klarownej postaci kilku podstawowych prawd, wyrażających istotę multikulturalnej „posteuropejskości"[6], gdyż ich nie ma. Nie może być inaczej, skoro powtarza się na okrągło, że wszystkie cywilizacje mają taką samą wartość. W takim stanie rzeczy Afrykanie czy Azjaci z chęcią wykorzystują europejskie zdobycze techniczne i socjalne, natomiast odrzucają przeniknięty schyłkowością przekaz kulturowy[7]. Wolą trwać przy swoich jasnych regułach i trudno im się dziwić.

[6] W 2010 roku doszło do precedensowej wypowiedzi prominentnej postaci euroestablishmentu. „Horst Seehoffer, przewodniczący CSU i szef rządu krajowego w Bawarii, powiedział najbardziej znamienne zdanie ostatnich dni: Multikulti ist tot, czyli »wielokulturowość umarła«", M. Soska, *„Multikulti" umarło, niech żyje „Leitkultur"*, „Myśl Polska" 2010, nr 45–46, s. 6. Jeszcze za wcześnie, by ocenić, czy za bawarskim premierem pójdą inni, ale tabu zostało złamane.

[7] Wiele do myślenia daje obrazek z monachijskiego Parku Angielskiego. Nad spienioną Izarą wylegują się obnażone gromady euronudystów, pogrążonych w rytuale powrotu do stanu szczęś-

© for this edition by CNS

Kierowane zarówno do nich, jak i do autentycznych Europejczyków przesłanie grzeszy słabością, brakiem skonkretyzowanego, twardego jądra, które byłoby w stanie wytworzyć prawdziwy, imponujący wszystkim Euronaród. Ideolodzy Unii osiągnęli pewne sukcesy w osłabianiu świadomości chrześcijańskiej i narodowej mieszkańców „zachodniego przylądka Eurazji", ale póki co próba wytworzenia nowej europejskiej tożsamości, opartej na negacji starych paradygmatów, nie zakończyła się powodzeniem.

Ewidentnie brakuje oryginalnego kamienia węgielnego, na którym mogłaby się oprzeć solidna konstrukcja Eurogmachu, wyróżniająca się urodą oraz odpornością na kryzysy. Trudno za takie kamienie uznać założycielskie mity powojennego globalnego porządku w postaci ludowładztwa i praw człowieka, gdyż wypisały je na swoich sztandarach Stany Zjednoczone, ogłaszając się ich krzewicielem na wszystkich szerokościach geograficznych. Państwo to jest bardziej przekonujące w tej roli od Starego Kontynentu, gdyż USA nie ma feudalnej przeszłości, która wciąż pozostawia potężne ślady w mentalności Polaków, Niemców czy Hiszpanów. Została ona co nieco przeorana przez masowe rewolucje i wojny, ale wciąż znajdują się w niej poważne „reakcyjne złogi", gdyż w końcu po tej stronie Atlantyku pozostawał bardziej zachowawczy element od tego, który podbijał prerie Nowego Świata. Jego zdobywcy uciekli z Europy, bo się w niej dusili, natomiast ci, którzy pozostali, oraz ich potomkowie w znacznie mniejszym stopniu uwolnili się od wielowiekowego bagażu Tradycji[8], który permanentnie ciąży i fundamentalnie utrudnia przekształcenie UE w podmiot stanowiący nową jakość. Organizacja ta ma rozliczne wady swoich kontynentalnych poprzedniczek, wynikające z nieuchronnych problemów związanych z konstruowaniem wielkich politycznych bytów, a nie ma ich zalet, które zostały zniweczone przez długotrwały i zmasowany ostrzał postępowców.

Cesarstwo oraz generalnie inne przednowoczesne organizmy państwowe charakteryzowały się mniejszą omnipotencją władzy. Feudalna hierarchia rang powodowała, że mieliśmy do czynienia ze skomplikowanym systemem *checks and balances*, w którym królowie, książęta, hrabiowie, biskupi i wolne miasta nie były w stanie trwale narzucić innym swojej woli. Wielostopniowe rozczłonkowanie europejskiego systemu politycznego powodowało, że ówczesny polityczny naród żył w stanie permanentnego złożonego pluralizmu, w porównaniu z którym dzisiejszy stan rzeczy jawi się jako daleko posunięty totalitaryzm.

---

liwej dzikości. Wśród nich przechadzają się zapięci po szyję synowie dzikiej Afryki, konstatując, że kiplingowskie brzemię spadło z białego człowieka wraz z ubraniem.

[8] Prowokuje to do formułowania tak zdecydowanych osądów jak poniższy: „Po dwóch stronach Atlantyku znajdują się dwa różne światy", P. Sieradzan, *Cytat tygodnia*, „Myśl Polska" 2010, nr 47–48, s. 1. Jankeska Ameryka i Europa nie są całkiem różne, ponieważ Europa zajmuje stanowisko pośrednie między Nowym Światem a azjatycko-afrykańską częścią Wielkiej Wyspy Światowej. Stary Kontynent jest co nieco zamerykanizowany, ale z drugiej strony spora część jego mieszkańców wciąż w swojej mentalności i sposobie życia jest bliższa Azjatom i Afrykańczykom niż Amerykanom.

© for this edition by CNS

Ukazał się on w całej krasie po pierwszej wojnie światowej, gdy nastąpił „złoty okres" państw narodowych, w których elity władzy intensywnie polityzowały obywateli, zgodnie z leninowskim hasłem: „Kto się nie interesuje polityką, tym się polityka zainteresuje". Teoretycznie głoszony aktualnie zmierzch państw narodowych i zastąpienie ich przez brukselskie Neocesarstwo, którego konstruowanie jest potwierdzeniem Bierdiajewowskiego proroctwa Nowego Średniowiecza, mogłoby spowodować nawrót niegdysiejszej luźniejszej formuły państwowości. Wydaje się jednak, że istnieje zjawisko „praw nabytych przez państwo", które wyraża się w tym, iż rządzący dobrowolnie nie oddają obszarów zajętych przez ich poprzedników. Oznacza to, że przejmowanie przez eurostruktury kompetencji państw członkowskich nie idzie w parze z liberalizacją ustroju społeczno-politycznego. Pod hasłem walki z terroryzmem narasta kontrola nad masami potencjalnych wrogów systemu. Kiedyś francuscy Ludwikowie zakładali, że wystarczy zgromadzić szlachtę w Wersalu, aby móc się zabezpieczyć przed spiskiem. Ponieważ okazało się to niewystarczające, wyciągnięto z tego wniosek w postaci konieczności permanentnego rozwijania sieci inwigilacji[9]. Idzie to w parze z pęczniejącą w zgodzie z prawem Parkinsona administracją, która doskonali techniki zachęcania ludzi do „oddawania państwu co państwowe" i zniechęcania ich do myślenia o ewentualnym oporze. Mają być przekonani, że żyją na najlepszym z kontynentów, którego biurokratyczna nadbudowa organizowana jest według najnowszych osiągnięć nauki i w sposób racjonalny wyraża zbiorową wolę Europejczyków, a jeśli komuś wydaje się inaczej, to znaczy, że powinien niezwykle poważnie się nad sobą zastanowić i podjąć próbę autoreformy w celu osiągnięcia przeciętnej. Poprzednio można było próbować schronić się przed nielubianą władzą w sąsiednim państwie. Dzisiaj europejski nakaz aresztowania spowoduje, że szybko i łatwo niepokornego osobnika dostarczy się do matecznika, który pokalał i pragnął opuścić. Skończyły się czasy Janosików i Robin Hoodów. Ich ewentualnym następcom pozostaje dwójmyślenie i sprytne stosowanie ketmanu. Wszak „poważnemu Europejczykowi" nie wypada inaczej postępować i przeszkadzać w wiekopomnej operacji konstruowania ustroju uszczęśliwiającego ogół. W przypadku niepotrzebnych zawahań należy przypomnieć sobie starą radziecką zasadę *им виднее*. Po co popadać w herezje, skoro wygodniej jest, „jak martwe śledzie", płynąć wraz z innymi głównym nurtem eurodemofilnej ortodoksji?

[9] Nikogo już nie dziwią stada kamer na miejskich ulicach, tabuny fotoradarów na szosach, dowody osobiste z odciskami palców i zdjęciami siatkówki oka. Do tego należy dodać zwyczajowe podsłuchiwanie rozmów prowadzonych przez telefony, sprawdzanie zawartości komputerowych twardych dysków oraz szybujące w przestworzach satelity, koordynujące prowadzone na powierzchni planety antyterrorystyczne działania zabezpieczające. Wielki Brat coraz mocniej obejmuje nas w swoim miłosnym uścisku, przygarniając przestraszone i spragnione bezpieczeństwa masy, zagubione w „samotnym tłumie".

© for this edition by CNS

W wymiarze doktrynalno-instytucjonalnym wyraża się ona w obowiązywaniu ludowładczego dogmatu na całym obszarze UE[10]. Spełnia on współcześnie taką rolę jak drzewiej zasada monarchiczna[11]. Wprawdzie niektóre państwa członkowskie Unii wciąż formalnie pozostają wierne tej ostatniej, ale została ona dość gruntownie „przeflancowana" przez dogmat ludowładztwa[12]. Wyniesiono go na laickie ołtarze, gdzie oddaje mu się cześć wraz z prawami człowieka, które to idole spełniają rolę „boskich bliźniąt" naszych przedziwnych czasów. W związku z tym błąd herezji oraz *crimen laesae maiestatis* przybrały postać fundamentalnego oskarżenia o łamanie praw człowieka oraz śmiertelnego grzechu antydemokratyzmu. Wszak *vox populi vox Dei*, przy czym we współczesnej interpretacji sam lud jest potężnym bóstwem, które wypowiada się we własnym imieniu bez potrzeby starania się o jakąś teistyczną legitymizację w jej tradycyjnej postaci. W zupełności wystarczy usankcjonowana głosowaniem opinia parlamentarzystów względnie szacownych sędziów trybunałów konstytucyjnych, umiejętnie wcielających się w rolę demokapłanów.

Legislatywy spełniają zapotrzebowanie na wiece plemienne, o których wspomnienie zapewne przechowuje się w podświadomości Europejczyków. Dzięki mediom elektorat może śledzić obrady swoich wybrańców i realizować prastarą potrzebę współuczestniczenia w życiu politycznym bez konieczności osobistego udawania się na zgromadzenia i żmudnego w nich partycypowania.

Znacznie wygodniej jest z pilotem w jednej ręce a puszką piwa w drugiej kontemplować walki oralnych gladiatorów, dysponując władzą w postaci możliwości przełączenia na inny kanał. Jest to zdaje się niezwykle popularna postać pluralizmu, kultywowana przez setki milionów konsumentów spływających z ekranów eurowartości[13]. Ten całodobowy spektakl stanowi niesamowity fe-

[10] W Europie poza UE napotkamy jeszcze takie państwa jak Watykan czy Zakon Maltański, w których zasada demokratyczna odgrywa drugorzędną rolę, w związku z czym są one traktowane jako dziwaczne archaizmy.

[11] Przypomnijmy, że w 1914 roku w Europie istniały raptem trzy republiki: Szwajcaria, San Marino i Portugalia. Ciekawe jest to, że dwie pierwsze wciąż nie należą do UE. Przyczyną jest głęboki konserwatyzm ich republikanizmu, który nie wyzbył się jeszcze tradycyjnych antydemokratycznych cnót, nieprzystawalnych do eurostandardów.

[12] Utrzymywanie nierepublikańskiej formy państwa stanowi pewien problem, ponieważ w dzisiejszych europejskich monarchiach obowiązuje pryncypium dziedziczenia w zakresie obsadzania urzędu głowy państwa, co jest niewątpliwie kamieniem obrazy dla szczerych demokratów. Jednak zdecydowana większość zarówno klasy politycznej, jak i zwykłych obywateli traktuje instytucję monarchii jako nieszkodliwy kaprys, niemający istotnego wpływu na fundamentalne procesy społeczno-polityczne. A zatem poza królewską czy wielkoksiążęcą fasadą monarchie wchodzące w skład UE nie odróżniają się bynajmniej od republik. Jedne i drugie są w środku jednakowo demoliberalne.

[13] Często spotykaną opinią telewidzów zawzięcie uprawiających *zapping* jest stwierdzanie braku głębszych różnic między przekazami oferowanymi przez formalnie różne kanały. Świadczy to o osiągnięciu wysokiego stopnia jedności moralno-politycznej. Ujednolicony przekaz pomaga w kształtowaniu osobowości wzorcowego Europejczyka, przyzwyczajonego od kolebki do poddanych wewnętrznej cenzurze redakcyjnej nieszkodliwych dla ustroju treści oferowanych mediotom.

© for this edition by CNS

nomen, tworzący z gruntu nową jakość, osiąganą dzięki środkom technicznym niedostępnym dla niegdysiejszych władców. Ich PR wygląda nieporadnie i nieprzekonywająco w zestawieniu z dzisiejszymi zabiegami profesjonalnych inżynierów dusz, służących Wspólnej Europejskiej Sprawie. Ten jedynie słuszny cel ma rozwiewać wszelkie wątpliwości, jakie mogłyby się zrodzić wśród nielicznych „szukających dziury w całym" krytyków medialnych manipulacji. Wszak „w tę stronę idzie i iść musi".

Stwierdzenie to według oficjalnej wykładni powojennego trendu rozwojowego na Starym Kontynencie należy interpretować jako przezwyciężenie niesłusznych wątków eurohistorii[14], dzięki czemu dla dobra zarówno średnio refleksyjnych przeciętnych konsumentów „słusznych medialnych bajeczek", jak i wszystkich innych będzie można stworzyć system bardziej ludowładczy od wszystkiego, co wymyślono w przeszłości. Stale ulepszana demokracja naszpikowana prawami człowieka i obywatela ma być receptą na wszystko, gwarantującą zdecydowaną przewagę jakościową współczesnego ustroju nad starymi.

Egzystencjalna różnica między nimi wyraża się w tym, że kiedyś uważano, iż wszystko na tym „łez padole" jest naznaczone głęboką ułomnością, będącą pochodną niezmywalnego grzechu pierworodnego. W związku z tym projekty słonecznych miast i szklanych domów traktowano jako aberracyjne utopie, niemożliwe do urzeczywistnienia na tym świecie. Państwo nie miało zbawiać człowieka, tylko pomagać Kościołowi w utrzymaniu grzeszników w ryzach. Poddany nie oczekiwał od władzy zbyt wiele, ponieważ najistotniejszy, eschatologiczny przekaz otrzymywał z Watykanu. Cesarz i królowie mieli zapewnić jako takie bezpieczeństwo, a jeśli nie wywiązywali się do końca z tego zadania, to wytłumaczenie zawsze można było odnaleźć w nieuniknionej niedoskonałości każdego tworu politycznego. Nie wierzono w postęp, w związku z czym za osiągnięcie uważano utrzymanie poprzedniego stanu rzeczy. W każdej chwili mogła nastąpić Apokalipsa, a z tego przekonania wynikała niechęć do realizowania wielkich projektów społeczno-politycznych, odciągających uwagę wiernych od przestrzegania dekalogu. Z założenia zdecydowana ich większość nie miała zajmować się polityką, tylko grzecznie pracować, a w niedzielę wysłuchiwać padających z ambony pouczeń bez możliwości przełączenia na inny kanał, gdy kaznodzieja po raz n-ty powtarzał te same komunały.

Współcześnie ich pozbawione nadprzyrodzonej sakry odpowiedniki są wbijane w umysły euromas w celu utrzymywania ich w przekonaniu o słuszności

Magia szklanego ekranu stanowi potężny czynnik w długofalowej operacji urabiania świadomości mas w kierunku „ostatecznego rozwiązania zagadnienia faszystowskich wirusów". Mają one być raz na zawsze zalane rzekami demopropagandy, zostawiającymi w duszach adresatów muł tak jednorodny i głęboki, że nie przebije się przez niego żadne oryginalne ziarno.

[14] Póki co, w dużym stopniu jest to wciąż pobożne życzenie, jak przekonuje bowiem niemiecki historyk: „Traktaty integracyjne nie skasowały spuścizny historycznej", M. Stuermer, *Jak Europa ma dorosnąć?*, „Myśl Polska" 2010, nr 41–42, s. 7.

© for this edition by CNS

potężnego eksperymentu, w którym uczestniczą. Ma on udowodnić, że racjonalni Europejczycy są w stanie, kierując się ustanowionymi samoistnie, bez pomocy czynników nadprzyrodzonych, wytycznymi, skonstruować kontynentalną wspólnotę gwarantującą, dzięki podejmowanym głosami większości przemyślanym decyzjom, funkcjonowanie systemu, w ramach którego każdy będzie mógł szczęśliwie uprawiać swój ogródek bez obawy recydywy wszelakich nieszczęść, jakimi usłane były tak zwane Ciemne Wieki.

Oderwanie się od nich było możliwe dzięki temu, że „religiancki paradygmat" został zastąpiony ludowładczym. Tyle tylko, że istotowa prawdziwość lub fałszywość tego pierwszego jest niemożliwa do ustalenia, gdyż opiera się on na fideistycznym, abstrahującym od „szkiełka i oka" fundamencie. Natomiast oświeceniowy fundament dzisiejszego porządku został położony w otoczce braku jakiegokolwiek odpowiednika Świętego Świętych z jerozolimskiej świątyni. Wszystko ma być zupełnie jasne, rozumne i oczywiste. UE, podobnie jak USA, ma być inkarnacją czystego Rozumu, przekształcającego planowo rzeczywistość zgodnie z naukowo udowodnionymi spiżowymi prawami rozwoju ekonomiczno-społecznego. Jest to potężny przykład nieśmiertelnej ludzkiej *hybris*, prowokujący do krytyki, bardziej uzasadnionej niż w przypadku „mającego papiery z wyższej półki" systemu cesarsko-papieskiego.

Tamta Europa miała Świętą Księgę oraz dwa formalne Autorytety, z których jeden był kojarzony z żywiołem germańskim, a drugi z romańskim, co tworzyło pewną kontynentalną równowagę i dawało możliwość wyboru, opowiedzenia się za którymś z dwóch ośrodków władzy, opartych na innych filozofiach, ale mających tę samą fideistyczno-cywilizacyjną podstawę. Ówcześni Europejczycy mieli zatem wyraźne ośrodki koncentracji władzy duchowo-politycznej, co zachęcało do zdecydowanego opowiedzenia się za nimi z powodu łatwości utożsamienia się z reprezentowanymi przez nie wartościami.

Dzisiaj nie mamy ani Księgi, ani wyrazistych Autorytetów. Kiedyś ludzie z namaszczeniem czytali Biblię lub słuchali w napięciu księżych wypowiedzi na jej temat. Teraz są zalewani przez tony pisemnych oraz elektronicznych przekazów, wśród których nie są w stanie wyodrębnić jakichś szczególnie istotnych. Z pewnością nie są za nie uważane akty prawne tworzone przez UE, których prawie nikt nie czyta. Żaden z nich nie istnieje w zbiorowej świadomości jako dokument szczególnie godny uwagi, którego fragmenty warte są tego, aby szkolna dziatwa uczyła się ich na pamięć. W lwiej części są one przejawami maniakalnego paragrafiarstwa, przemożnej żądzy drobiazgowego uregulowania wszystkich istotnych i nieistotnych zagadnień, co skutkuje deszczem dyrektyw spadających na urzędy i obywateli, powodującego lekceważenie mnożącego się jak szarańcza prawa oraz produkujących go w szaleńczym trudzie podmiotów. Pomimo ich trudu można iść o zakład, że przeciętny Europejczyk nie jest w stanie powiedzieć paru sensownych zdań na temat traktatu lizbońskiego czy Karty praw podstawowych, gdyż jawią mu się one jako byty uchwalone przez zała-

© for this edition by CNS

twiających swoje sprawy „onych". Istnienie tych „osiągnięć europejskiej myśli prawno-politycznej" nie powoduje przyspieszonego bicia serc u Włochów czy Węgrów, ponieważ nie dostrzegają oni jakichś szczególnych związków między nimi a swoimi sprawami. Dzięki temu pogłębia się znane już z praktyki życia społeczno-politycznego poszczególnych państw członkowskich zjawisko alienacji nadbudowy prawno-ustrojowej, nabierającej cech samoistnego podmiotu egzystującego we własnym świecie, w niewielkim stopniu kompatybilnym z egzystencją szarych obywateli, coraz częściej funkcjonujących w szarej strefie, spontanicznie pojawiającej się wówczas, gdy nie można się połapać w gąszczu norm prawnych.

Wśród radośnie tworzącej tę plątaninę europejskiej klasy polityczno-urzędniczej nie widać wybitnych jednostek, które mogłyby zaspokoić obywatelskie zapotrzebowanie na prawdziwe autorytety. Są one zastępowane przez eksponowanych w mediach przedstawicieli euroelity, pozbawionych charyzmy i oryginalności, powtarzających automatycznie wyuczone, wciśnięte w gorset poprawności politycznej frazesy. Stanowią oni udoskonaloną, poddaną odpowiedniej obróbce, wersję polityków funkcjonujących na szczeblu państw członkowskich. W gronie tych ostatnich można jeszcze czasem dostrzec ciekawe jednostki, związane z tradycją ich krajów i mające coś do powiedzenia. Cechy te zanikają w brukselskich salonach, gdzie tłoczą się „euroludzie bez właściwości", zglajchszaltowani przez reguły rządzące unijną machiną.

Charakterystyczna dla niej, znana nam z okresu realnego socjalizmu, zasada przewagi czynnika kolektywnego nad indywidualnym powoduje, że nie stwarza się instytucjonalnych warunków do rozwoju wybitnych jednostek, które mogłyby natchnąć Europejczyków wiarą w słuszność wspólnego dzieła. Taki sukces, łączący się z masową rozpoznawalnością, mógłby zachęcać ulubieńców tłumów do śnienia o szpadzie, do podjęcia działań o napoleońskim zacięciu, do ubierania się w dyktatorskie szaty. Ponieważ byłoby to niezgodne z ideowym klimatem epoki, przezornie podejmuje się działania prewencyjne, wybierając zamiast epickiego, imperialnego rozmachu szarzyznę w postaci współczesnej wersji dyrektoriatu. Jego przednapoleoński pierwowzór zarządzał masą spadkową po potężnej francuskiej rewolucji. Dzisiejszy odpowiednik tamtej kliki to ekipa zarządzająca masą spadkową po mocarstwowej Europie, liżącej rany zostawione przez kilkudziesięcioletnią sowiecko-jankeską okupację, która w zachodniej części kontynentu nawet jeszcze nie została zakończona.

Euroazjatyckie i amerykańskie imperia dbały o to, aby w ich strefach wpływów nie pojawił się żaden trybun ludowy, mogący zakłócić powojenną równowagę. Stawiano na ulizanych kolaborantów, usłużnie reprezentujących interesy odpowiednio Moskwy i Waszyngtonu. Obowiązywał ten sam schemat co na zwasalizowanej przez Tatarów Rusi, gdzie jarłyk dostawał najbardziej usłużny, odgadujący życzenia chana książę. W poprzednim stuleciu ruscy książęta zostali zastąpieni przez spętanych postanowieniami Układu Warszawskiego wschodnio-

© for this edition by CNS

europejskich genseków oraz zachodnioeuropejskich premierów, wprzęgniętych w NATO-wski rydwan[15].

Temu ostatniemu największe wyzwanie rzucił Charles de Gaulle, gdy wyprowadził Francję z wojskowych struktur Paktu Północnoatlantyckiego, co można uznać za przedostatni póki co przykład samodzielnej polityki europejskiej, realizowanej przez polityka lubiącego iść pod prąd po to, by realizować bez względu na „międzynarodową opinię publiczną" rację stanu swojego państwa w sposób uznany przez siebie za najwłaściwszy. Ostatnim posunięciem w wielkim stylu było urzeczywistnione przez Helmuta Kohla wbrew protestom Paryża i Londynu *Wiedervereinigung*. De Gaulle i Kohl to ostatni reprezentanci starej szkoły europolityki, zdolni do przeforsowania swojej wyrazistej linii politycznej. Po nich nastał czas mętniactwa, rutynowych euroszczytów, po których gromada przywódców UE wydaje ogólnikowe oświadczenia, z których niewiele wynika. Trudno uniknąć wrażenia dreptania w miejscu w takt międlenia wytartych frazesów. Stadność europolityki skazuje ją na bezbarwność i małość.

Te dwie cechy są wszechobecne. Odnajdziemy je w sztuce, kulturze i życiu społecznym. Zastanawiające jest to, że niegdyś kryzys w tych sferach był odbiciem wzmacniającej się państwowości, która wciągała i wykorzystywała aktywne jednostki. Te, gdy oddano im do dyspozycji aparat państwowy, wykorzystywały go, aby zaprząc rozmaite talenty do służby państwowej, co powodowało, wraz z postępami demokracji, wyjałowienie pozapaństwowej rzeczywistości, nieistotnej z perspektywy wielkiego dzieła jednoczenia narodu w mocarne państwo[16]. Ten schemat po 1945 roku został zastąpiony systemem podwójnej dekadencji. Słabość struktur państwowych kroczy ramię w ramię z anemią społeczeństwa obywatelskiego, tracącego zarówno artystyczną, jak i biologiczną płodność. Żmudne konstruowanie Unii Europejskiej bynajmniej nie powstrzymało tych procesów, podobnie jak montowanie różnych federacji miast-państw nie zapobiegło artystycznemu i politycznemu upadkowi dawnej Hellady, ponieważ wyczerpały się jej siły żywotne.

Z kryzysem tego rodzaju mamy do czynienia także w dzisiejszej Europie. Nie jest on wieczny, podobnie jak jego poprzednicy, którzy niejednokrotnie nawiedzali „atlantycko-azjatycki bufor". Pytanie brzmi, czy Stary Kontynent potrafi uporać się z nim własnymi siłami, jak to miało miejsce na przykład po wojnie trzy-

[15] We Włoszech istniał narzucony przez USA, niepisany antykomunistyczny „zapis". Zgodnie z jego brzmieniem Włoska Partia Komunistyczna, pomimo regularnego uzyskiwania w wyborach ponad 30% ważnie oddanych głosów, nie miała szans na wejście jej przedstawicieli do rządu.

[16] Najbardziej wyrazistymi przykładami tego zjawiska są Niemcy i Włochy. Przed zjednoczeniem na konkurujących ze sobą dworach kwitły ośrodki artystyczne, cieszące się względną swobodą ekspresji. Unifikacja narodowa doprowadziła do spłaszczenia gustów. Nakazano tworzyć proste w wymowie dzieła, które będą zrozumiałe dla mas. Artyści poczuli się obrażeni i po upadku wiadomych reżimów „poszli w abstrakcję", nie wytrzymując konkurencji fotografii i oper mydlanych. Masowość oraz postęp techniczny wykopały grób sztuce ambitnej, pragnącej odtwarzać rzeczywistość i rozbudzać wrażliwość odbiorców.

© for this edition by CNS

dziestoletniej. Możemy śmiało postawić diagnozę, że to nie nastąpi, póki będzie trwała ofensywa ludowładztwa brnącego w nasilający się dogmatyzm.

Wyraża się on w walce sekt roszczących sobie pretensje do jedynie słusznego paradygmatu, którego realizacja doprowadziłaby do osiągnięcia optymalnej postaci demokracji, jakiej brak według członków sekt jest przyczyną wszelakich nieszczęść ludzkości. Ulice europejskich aglomeracji coraz bardziej przypominają zagrożony turecką inwazją Carogród, na którego placach podnieceni mieszkańcy namiętnie rozprawiali o dogmatach chrześcijaństwa. Współcześnie miejsce monofizytów spierających się z nestorianami zajmują bojownicy o prawa homoseksualistów, cyklistów czy zwierząt, święcie przekonani o tym, że hasła konkurencyjnych ekip mają zupełnie trzeciorzędne znaczenie w porównaniu z ich własnymi. Energia aktywnych Europejczyków znajduje ujście w tych bojach, które są ersatzem niegdysiejszych starć w imię haseł religijnych czy narodowych. Jeśli spektakl ten będzie się nasilał, to globalna pozycja Europy będzie w dalszym ciągu się osłabiać, gdyż chińska, brazylijska czy indyjska konkurencja skupia się na zagadnieniu generowania przyspieszonego rozwoju militarno-ekonomicznego.

Elity wielkich i rozpędzonych amerykańskich czy azjatyckich tygrysów przepełnione są wiarą w przyszłość, która już dawno wyparowała z eurosalonów, pogrążonych w jałowych dywagacjach, bynajmniej nie bardziej wartościowych niż onegdajsze rozważania na temat ilości diabłów na szpilce. Filozofowie zajmują się segmentowaniem ponowoczesności, jako żywo przypominającym deliberacje na temat faz dochodzenia do komunizmu. Różnica polega na tym, że te drugie mieściły się w postępowym paradygmacie, opartym na przeświadczeniu o konieczności dążenia do zbudowania bardziej sprawiedliwego świata. Natomiast ponowoczesność jest zanurzona w klimacie Końca Historii, przepojona przeświadczeniem, że wszystko już było. Nie czekają nas już żadne istotne zmiany, a jedynie nudne szlifowanie społeczno-politycznych szczegółów. Nuda wyziera z każdego kąta i nie pozostaje nic innego, jak ją opisać i obłaskawić. Taki nastrój panuje zazwyczaj na obradach europarlamentu, stanowiącego gorsze wcielenie legislatyw państw członkowskich, w których można jeszcze napotkać niezłych mówców, robiących wrażenie swoimi wystąpieniami. Jeśli tacy trafiają się w Brukseli, to giną w różnojęzycznym tłumie eurodeputowanych, których spora liczebność nie przekłada się na nową, dynamiczną jakość.

Nie może ona powstać, póki nie pojawi się wyraźny Wielki Cel. Jego przeforsowanie nie jest możliwe, póki dusze i umysły euroelity ściska sztywny gorset politpoprawności. Ten system interpretowania świata zamazuje historiozoficzną porażkę Europy, która znalazła się na Marginesie Ważnego Świata. Oficjalne stwierdzenie tego faktu, przyznanie, że na aktualnym etapie rozwoju inni są lepsi i należałoby zapewne skorzystać z ich rozwiązań, tak samo jak oni wykorzystali schematy rozwojowe opracowane kiedyś w Europie, nie mieściłoby się w dopuszczalnym kanonie, gdyż nie należy chwalić tych, którzy nie poważają, a w związku z tym nie przestrzegają eurostandardów. Informuje się Europejczyków, że konku-

© for this edition by CNS

rencja nie gra *fair*, nie znajduje się na naszym poziomie moralnym, w związku z czym nie podejmiemy rywalizacji na ich warunkach, gdyż byłoby to poniżej naszej godności. Wolimy skupić się na walce o utrzymanie „sprawdzonego modelu państwa dobrobytu", przedstawianego jako fundamentalne euroosiągnięcie. Jest to przejaw typowej schyłkowej, emeryckiej mentalności, zaskorupionej w zabezpieczaniu nagromadzonego przez poprzednie pokolenia majątku bez nadziei na jego powiększenie dzięki śmiałym osiągnięciom. Europa nie wysyła już karaweli po zaoceaniczne skarby. Zamiast nich płyną w eter niepoparte siłą „skarby europejskiej nowomowy", które nie są w stanie wzruszyć mocarzy świata tego, traktujących nasz kontynent jako pogrążające się w bezradności muzeum.

Europrzesłanie, wysyłane na inne kontynenty z jego omszałych murów, ma wybitnie urzędniczo-defensywny charakter, oddający stan elity UE. Nie ma ona mentalności konkwistadorów, gdyż składa się z kustoszów europejskiej masy spadkowej, drżącymi rękami, niezdarnie klajstrujących popękane ściany *Festung Europa*. Nie wzmocni ich wszechobecne narzekanie, w jakie zamieniły się bojowe okrzyki przodków. Europa nie walczy, bo woli powtarzać *ad nauseam* usypiające, rozmywające jej tożsamość mantry i przepraszać za winy poprzednich pokoleń.

Walczyły one albo o uzyskanie prymatu na kontynencie, albo o utrzymanie na nim równowagi sił. To drugie hasło stanowiło *idée fixe* dla perfidnego Albionu. Brytyjscy mężowie stanu byli przekonani, że dzięki utrzymywaniu takiego stanu rzeczy za kanałem będą mogli skutecznie realizować starorzymską zasadę *divide et impera*.

Teoretycznie „postępująca integracja europejska" w fundamentalny sposób utrudnia wrogom posługiwanie się tą dyrektywą. Jej wykonywanie rzeczywiście napotkałoby trudne do pokonania przeszkody, gdyby rzeczona integracja skutecznie zniwelowała stare podziały. Najważniejszy z nich to geograficzno-cywilizacyjna dystynkcja zdeterminowana istnieniem akwenu La Manche. O jego nieprzemijającym znaczeniu był głęboko przekonany de Gaulle, konsekwentnie sprzeciwiający się pomysłowi poszerzenia Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej o Wielką Brytanię. Jej atlantycka orientacja determinowała według twórcy V Republiki spełnianie przez Londyn roli konia trojańskiego, realizującego przede wszystkim swoje i Waszyngtonu interesy.

Klasycy geopolityki, tacy jak Rudolf Kjellen, Friedrich Ratzel, Karl Haushofer czy Alfred Thayer Mahan, zgodnie stwierdzali, że interesy morskich mocarstw są przeciwstawne tym, które są charakterystyczne dla potencji o lądowym charakterze. W historii politycznej Europy owa sprzeczność przejawiała się w stałym zwalczaniu przez Anglię, w zgodzie z maksymą zachowania równowagi sił na kontynencie, państwa przekształcającego europejski stały ląd w swój protektorat. Właśnie dlatego Brytyjczycy zwalczali najpierw Hiszpanię, potem Francję, a w następnej kolejności Niemcy.

Po 1945 roku dzięki francusko-niemieckiemu pojednaniu zarysował się geostrategiczny twór będący reinkarnacją europejskiego „karolińskiego jądra". W re-

© for this edition by CNS

aliach dwublokowego świata nie było warunków do clausewitzowskiego skorzystania z wojny jako przedłużenia polityki, w związku z czym nad Tamizą wybrano opcję oficjalnego przyłączenia się, zgodnie ze starą dewizą: „Nie możesz kogoś pokonać, to zostań jego przyjacielem". Generał de Gaulle nie chciał tej przyjaźni, ale po jego ustąpieniu została ona przeforsowana. W efekcie, po powiększeniu UE o kolejne monarchie i republiki, zarysował się podział na państwa bardziej zaangażowane w integrację i na takie, które wykazują względem niej średni entuzjazm pomimo formalnej partycypacji w Unii.

W gronie państw „starej Unii", nieobejmującej republik postkomunistycznych, na zbliżonych do brytyjskich sceptycznych pozycjach znajdują się skandynawskie monarchie. Podobnie jak Zjednoczone Królestwo, nie zdecydowały się one na wprowadzenie u siebie euro, czego trudno nie interpretować jako niechęci do pozbywania się istotnego atrybutu suwerenności i braku wiary w sensowność postępującej unifikacji Europy.

Po odrobinie namysłu dostrzeżemy w tej linii politycznej kontynuację anglikańsko-protestanckiego zerwania, do którego doszło w XVI wieku. Spowodowało ono, że zachodnie i północne obrzeża Europy znalazły się poza systemem cesarsko-papieskim. Brytyjski i skandynawscy monarchowie skupili w swoich rękach pełnię władzy zarówno duchownej, jak i świeckiej. Im i ich poddanym eurointegracja kojarzyła się z zagrożeniem w postaci znienawidzonego katolicyzmu, którego awangarda w osobach złowieszczych jezuitów śniła o fideistycznej uniformizacji europejskiego chrześcijaństwa.

Aktualnie, w zasadniczo postchrześcijańskiej zachodniej Europie ten problem już nie występuje, niemniej zakorzeniona w Skandynawii i Wielkiej Brytanii nieufność względem imperialnych pomysłów rodem z „właściwej Europy" utrzymuje się przez cały czas. Fizyczny dystans oddzielający północno-zachodnich Germanów od Germanów pozostałych i narodów romańskich wciąż wiąże się z innym rozumieniem własnych interesów. Wydaje się, że stanowi to zasadniczą przeszkodę w realizacji zamysłu przekształcenia Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej w Stany Zjednoczone Europy, które miałyby zająć „należne im miejsce pod Słońcem".

Wewnątrzeuropejskie różnice są ewidentnie większe od tych, które dzielą w USA Północ od Południa. Tam wystarczyła jedna wojna, aby poskromić niesfornych i wprząc ich do mocarstwowego rydwanu. W Europie pomimo wielu wojen wciąż nie można mówić o skutecznym podporządkowaniu sobie przez kontynentalną elitę „rozbijaczy eurojedności". Ich liczba rośnie wraz z geograficznym poszerzaniem UE.

Pro domo sua w ich gronie *sine ira et studio* jak najbardziej można umieścić RP. Polacy są skomplikowanym i trudnym przypadkiem, co powinno spowodować, że walec eurointegracji będzie miał istotne trudności w przeflancowaniu Lechitów na wzorcowych, posłusznych entuzjastów, karnie stąpających w zwartych szeregach bojowników Wielkiej Europy.

© for this edition by CNS

Nietypowość Polaków wyraża się w tym, że są słowiańskimi katolikami pozbawionymi cesarskiej tradycji, zamiast której mamy do czynienia ze świadomością istnienia własnego, oryginalnego mocarstwa, rozebranego przez bezwzględnych sąsiadów. Złożona, zaburzona tożsamość „polactwa"[17] i niewystygłe aspiracje, biorące się z przekonania o „powołaniu do wielkich czynów", powodują, że polskie niziny stanowią niewdzięczny teren dla każdej państwowotwórczej działalności. Przekonały się o tym trzy rozbiorcze mocarstwa, które „nie zdołały przetrawić polskiego łupu" i w efekcie się rozpadły. Podobny los spotkał III Rzeszę, która z powodu RP wdała się w wojnę światową z wiadomym skutkiem. Po jej zakończeniu PRL była najważniejszym sojusznikiem ZSRR w Układzie Warszawskim, który według polskiej megalomańskiej mitologii narodowej rozpadł się po strajkowym Sierpniu. Pomimo przesady tego stwierdzenia kryje się w nim racjonalne jądro, którego istnienie potwierdził sam Stalin, gdy zauważył, że budowa socjalizmu nad Wisłą jest tak samo karkołomnym przedsięwzięciem jak osiodłanie krowy. To skrzydlate stwierdzenie Kaukaskiego Orła można odnieść do współczesnej operacji instalowania między Odrą a Bugiem „eurokołchozu". Początkowy euroentuzjazm sporej części urobionego propagandowo społeczeństwa najprawdopodobniej przekształci się w zniechęcenie i poczucie krzywdy[18], które to uczucia, głęboko gorzkie jak każda nieodwzajemniona miłość, przysporzą *multum* kłopotów sternikom euronawy. Bodajże Churchill mówił o bólu głowy występującym u wielkomocarstwowych statystów ze względu na polską sprawę i uczucie to w rozszerzonej Unii zapewne także się pojawi. Jako jego przejaw należy, zdaje się, potraktować definiowanie w mediach RP jako „trojańskiego osła" wiadomych mocodawców.

Przyłączenie do Unii wschodnioeuropejskich krajów, porzuconych przez radzieckiego hegemona, oznacza raptowne powiększenie jej terytorium i ludności, narażające całą konstrukcję na nieobecne do tej pory napięcia. Historia uczy, że każde z europejskich mocarstw, które uskuteczniało *Drang nach Osten*, nie wytrzymywało problemów z tym związanych, czego spektakularnym przykładem są imperia Napoleona i Hitlera[19]. Zachodnia Europa pod wieloma względami

[17] Jest ona trwale rozdarta między kozackopodobną (w końcu to uciekinierzy z Polski stanowili istotny element konstytuujący Sicz) tęsknotą za przygodą na bezbrzeżnym stepie a pożądaniem spokojnego żywota na zachodni wzór w domku wśród wyrównanych grządek pilnowanych przez poczciwego krasnala z gipsu. Każdy z tych życiowych modeli ma swoje zalety, ale i wady, które obniżają jego atrakcyjność. Polska jest krajem cywilizacyjnie rozdartym, co dobrze oddaje anegdota o dwóch pasażerach, z których pierwszy jechał z Paryża do Moskwy, a drugi odwrotnie. Przez pomyłkę obaj wysiedli w Warszawie i obydwaj myśleli, że dojechali już do celu podróży.

[18] Ten schemat został już przerobiony w Kongresówce po kongresie wiedeńskim. Początkowo warszawskie salony były przepełnione zachwytem nad osobą liberalnego i przystojnego Aleksandra. Później szara rzeczywistość dała znać o sobie. Rzeczywiste i wyimaginowane problemy zaczęły coraz intensywniej przesłaniać pożytki płynące z polsko-rosyjskiej współpracy, co skończyło się powstaniem.

[19] Wcześniej podobny los spotkał borykające się z Germanami cesarstwo Karola Wielkiego i Austro-Węgry, które nie przeżyły intensyfikacji interwencji na Bałkanach.

© for this edition by CNS

istotnie różni się od „wschodniego płuca" kontynentu, co powoduje, że polityczna kompatybilizacja tych dwóch obszarów jest niezwykle ambitnym i najeżonym trudnościami przedsięwzięciem.

Zmierza ono do pokonania za pomocą eurofunduszy i brukselskich dyrektyw podziałów, jakie pozostawiła po sobie Żelazna Kurtyna oraz inne cywilizacyjno-mocarstwowe rubieże. Mamy kilka Europ[20] i próba ich stopienia w prężny organizm jest zadaniem raczej na miarę gigantów sprzymierzonych z tytanami niż ustawiających się do rutynowych zbiorowych fotek ponowoczesnych europrzywódców, wyglądających jak gromada przypadkowych statystów, niepewnie się czujących w swoich zglobalizowanych marynarkowo-krawatowych ubrankach. Nie wyglądają oni na ludzi zdolnych do przekształcenia Unii w podmiot przywracający Europie jej niegdysiejszą rangę.

Rzecz jasna, prawie wszystkie początki są trudne i tak może być także w tym przypadku, tyle tylko, że istnieją poważne obawy, czy obrana strategia jest słuszna. Polega ona na mozolnym konstruowaniu przez panów z fotografii i ich pomocników gigantycznego mechanizmu, biurokratycznego molocha pożerającego ogromne środki, co nie przekłada się jednakowoż na oszałamiającą skuteczność.

Europa w dalszym ciągu nie podniosła się w wymiarze światowym po dwóch samobójczych wojnach i znajduje się w rosnącym cieniu globalnych gigantów. Padła ofiarą przekształcenia dziewiętnastowiecznego monarchistyczno-liberalnego wzorca rozwoju w typowy dla XX stulecia paradygmat demokratyczno-socjalistyczny, dzięki któremu „lud wszedł do śródmieścia" i przekształcił je na swój obraz i podobieństwo. *Уравниловка* doprowadziła do zaniku starych stanowych cnót, zastąpionych przez pokraczne demoliberalne ersatze. Pozostają one w permanentnie fundamentalnym konflikcie ze staroeuropejskimi wartościami. Te ostatnie ożywiono po obaleniu Napoleona, co spowodowało odrodzenie w skali kontynentu oraz dokończenie europejskiego podboju globu ziemskiego. Kiedy ponownie doszły do głosu hasła burzycieli Bastylii, Europa wkroczyła na równię pochyłą. Póki ponownie nie zostaną one odrzucone, Stary Kontynent nie ma szans na wielkie sukcesy. Skrajne ludowładztwo wyraźnie mu nie służy.

Duży stopień sprawności osiągnęło ono w Szwajcarii, czyli w państwie, którego istnienie od początku zostało oparte na odrzuceniu czynnika monarchiczno-arystokratycznego. Jego pierwotna i konsekwentna republikańskość sprawiła, że nie musiało ono pokonywać esencjonalnych przeszkód na drodze do rozszerzonej wersji demokracji, która to idea od początku tkwiła w tym organizmie politycznym. Podobnie można ocenić *casus* San Marino.

[20] Oprócz romańskiej, germańskiej i słowiańskiej jest jeszcze budząca się celtycka. Poza świeżym podziałem na atlantycką i postkomunistyczną nie należy zapominać o starszych różnicach między bardziej kapitalistyczną i liberalną zachodnią częścią kontynentu i skłaniającą się do feudalizmu oraz konserwatyzmu wschodnią. Następne dystynkcje są konfesyjne i dzielą „skrajnie zachodnią Eurazję" na katolicką, protestancką, prawosławną i islamską.

© for this edition by CNS

Ciekawe jest to, iż żadna z tych dwóch republik nie należy do UE, co oznacza, że grupuje ona państwa, w których zasada ludowładcza, może z wyjątkiem Polski z jej szlachecką demokracją, była narzucana siłą przez kontestujące feudalne porządki nowe elity. Po zwycięstwie zabezpieczyły one dzięki prawnym rozwiązaniom swoją szczególną pozycję ustrojową, co pozwalało im realizować dynamiczną i skuteczną politykę bez potrzeby marnowania czasu na przekupywanie mas nieuświadomionego elektoratu, którym trzeba mówić „proste i słodkie kłamstwa", aby osiągnąć sukces wyborczy. Ta praktyka psuje zarówno korpus wyborczy, jak i klasę polityczną, która funkcjonuje od wyborów do wyborów w poczuciu głębokiej niepewności co do możliwości pozostania u władzy po elekcji i kontynuowania rozpoczętego kursu.

Na szczeblu państw członkowskich Unii ta fundamentalna systemowa choroba jest łagodzona dzięki istnieniu takich zjawisk, jak wytworzone przez tradycję nawyki oraz instynktowne, przekazywane w genach rozumienie racji stanu, przytłumiane przez demokratyczne rytuały, ale wciąż dające o sobie znać. Inaczej jest na szczeblu unijnym, na którym nie mamy do czynienia z tradycją wspólnej europolityki.

Oznacza to, że jest ona w sporym stopniu wypadkową trendów danego sezonu, efektem skomplikowanych i długotrwałych ustaleń dokonywanych przez rozmaite czynniki. Brak jednolitego przywództwa powoduje, że trzeba brać pod uwagę fluktuacje społeczno-polityczne w kluczowych państwach członkowskich, wciąż dbających przede wszystkim o interesy swoich społeczeństw.

Te ostatnie są w stanie dostrzec związek między własnymi decyzjami wyborczymi a kształtem przywództwa państwowego. Natomiast nie widzą takiej relacji na euroszczeblu pomimo regularnie odbywających się wyborów do zgromadzenia przedstawicielskiego. To ogromne ciało trudno nazwać inaczej niż fasadową instytucją, mającą być przykrywką dla dość nieudolnych machinacji eurodecydentów, zazwyczaj niemuszących się prawie zupełnie przejmować gadaniną deputowanych[21]. Parlamentarzyści dysponują co prawda demokratyczną legitymizacją, ale zasadniczo mają mniejszą możliwość korygowania posunięć egzekutywy niż przedrewolucyjni członkowie paryskiego parlamentu. Efekt jest taki, że w organie przedstawicielskim nie wytwarza się tradycja europolityki, gdyż nie ma takich instytucjonalnych możliwości. Dlatego też każdy głos oddany w wyborach do europarlamentu jest głosem straconym, bo niezwykle mało wynika z takiej lub innej decyzji elektoratu. Z tego powodu frekwencja jest niska, co należy uznać za wyraz braku zaufania zwykłych wyborców do przynajmniej części zinstytucjonalizowanej unijnej klasy politycznej.

[21] Przypomina się powiedzenie Lenina o gadających po próżnicy burżuazyjnych legislatywach. Pasuje ono jak ulał właśnie do organu, którego członkowie permanentnie błąkają się między Brukselą a Strasburgiem i macierzystymi krajami. Spora część z nich myśli przede wszystkim o tym, aby podpisać listę i możliwie szybko wrócić do siebie.

© for this edition by CNS

W europejskiej tradycji politycznej odnajdziemy bez trudu na najwyższych szczeblach władzy zasadę elekcyjności, wykorzystywaną do obsadzania zarówno papieskiego, jak i cesarskiego urzędu, ale nie łączyła się ona, inaczej niż w Polsce, z wyborem o charakterze powszechnym. Doświadczona grupa najważniejszych polityków wyznaczała głowę państwa na podstawie raczej wytrawnej analizy zalet i wad kandydatów niż ich medialnego *emploi*, co w epoce medialnej promocji politycznego towaru staje się rozstrzygającym czynnikiem. Nie ma zatem co się dziwić, że wyłaniani do tej pory w tradycyjny sposób papieże są lepiej przygotowani do sprawowania swojej funkcji niż świeccy ulubieńcy tłumów, nakłanianych nachalnie przez oficjalną propagandę do partycypowania w elekcyjnym „święcie ludowładztwa" dającym wybrańcom legitymację rzesz profanów, niemających w swej zdecydowanej większości zielonego pojęcia o zawiłościach europolityki. Prawie cały elektorat kieruje się nie chłodną kalkulacją, lecz namiętnościami, co przypomina przedparlamentarne czasy plemiennych wieców. Powróciły one w postaci medialnych kampanii wyborczych, oferujących telewidzom zasiadających w studiach gladiatorów, specjalizujących się w efektownym „przywaleniu" wrogowi. Polityka uprawiana ku uciesze mas skazana jest na niski poziom.

W przypadku Unii Europejskiej zarzut ten może być odparty przypomnieniem specyfiki tego tworu, polegającej na tym, że najważniejsze instytucje UE nie pochodzą z wyboru, co pozwala sugerować, iż są one „bardziej merytoryczne niż polityczne". Jednak nie do końca tak jest, ponieważ tworzący zinstytucjonalizowaną elitę Unii politycy reprezentujący egzekutywy państw członkowskich mają swoje krajowe legitymacje, co oznacza, że są oni produktami demoprocedur, lansujących powtarzających euromantry przeciętniaków. Ich zgromadzenie w jednym miejscu nie stanowi żadnej nowej jakości, gdyż posiedzenie w takim gronie nie stwarza dużych szans na to, że będzie przeniknięte nastrojem długofalowego, obliczonego na pokolenia, myślenia. O takie planowanie można posądzać pozostawiających swoim potomkom trony monarchów, ale oni nie uczestniczą w „eurospędach". Premierzy *nolens volens* muszą myśleć przede wszystkim o wyborach i o tym, żeby nie dostarczać swoim tajemniczym zachowaniem amunicji krytykom piętnującym unijny „deficyt demokracji". Wszak do tego już doszło, że wbrew wielowiekowej antydemokratycznej eurotradycji wszyscy liczący się gracze polityczni muszą składać rytualne hołdy bożkowi ludowładztwa, odmowa oznaczałaby bowiem wystawienie się na żer telewizyjnych kapłanów demoprzesądu, urządzających z upodobaniem medialne lincze nad tymi z prominentnych reprezentantów klasy politycznej, którzy dali jakiekolwiek podstawy do oskarżania ich o faszyzm, stanowiący największą herezję powojennej Europy.

Tak zwane skrajne eurosceptyczne *ergo* faszystoidalne partie są odpowiednikami radykalnych sekt kwestionujących oficjalną linię Watykanu i protestanckich książąt rzucających wyzwanie cesarzowi. Klątwy powinni rzucać wyborcy, odmawiając poparcia niesystemowym ugrupowaniom, ale nie zawsze stają na wysokości zadania. Zaniepokojeni stanem europejskich umysłów i duchów szczerzy

© for this edition by CNS

demokraci mają szansę oczyścić się dzięki pielgrzymce do Nowego Jorku, który ze swoją Statuą Wolności i ONZ-em odgrywa rolę Jerozolimy, stanowiąc oficjalne centrum globalnej parareligii prawoczłowieczej. Ewentualna dalsza emancypacja Europy, oddalająca ją od północnoamerykańskiego hegemona, da się porównać ze schizmą, podważającą tezę o istnieniu cywilizacji północnoatlantyckiej czy też euroamerykańskiej, jak kto woli. W tym wymiarze UE stanowiłaby narzędzie powrotu do tradycji samodzielnej polityki europejskiej, nieulegającej zbytnio napływającym z zewnątrz ideom. Większy nacisk kładziony po tej stronie Atlantyku na zagadnienia socjalne stanowi przesłankę uprawdopodobniającą kroczenie po własnej drodze, coraz bardziej oddalającej się od *American way of life*, na wzór chrześcijaństwa, które, po początkowym okresie niepewności, zdecydowanie oddaliło się od starozakonnych, dzięki czemu papiestwo i cesarstwo mogły przybrać znany nam z historii charakter.

Ideologiczna inwazja USA stanowi od czasów opanowania Europy przez chrześcijaństwo największe wyzwanie, dążąc do mcdonaldyzacji naszego kontynentu. UE albo jej ulegnie, jak onegdaj cesarstwo podporządkowało się wyznawcom Chrystusa, albo wybierze alternatywny, bardziej swojski model. Można go określić jako ideowo-ustrojowy paradygmat oparty na połączeniu pierwiastka indywidualnego z kolektywnym, będący trzecią drogą, względnie kompromisem między skrajnie indywidualistycznym modelem północnoamerykańskim i tradycyjnie mającym zdecydowane kolektywistyczne odchylenie systemem azjatyckim.

W niejednokrotnie szaleńczym propagowaniu przez UE rozmaitych mniejszości można się doszukać próby podążenia właśnie takim szlakiem, niezależnym od wschodniego totalitaryzmu i zachodniego liberalizmu. Intelektualny klimat ponowoczesności skłania do sięgania po przednowoczesne wzorce. W przypadku społeczno-politycznej Europy wyrażają się one przede wszystkim w korporacyjności i regionalizmie. Te dwa średniowieczne fenomeny zostały przygniecione przez porewolucyjny demonacjonalizm, który podarował naszemu kontynentowi tragiczne XX stulecie[22]. Gdyby Unia przyczyniła się do odwrócenia trendu i zanurzenia się w Neośredniowieczu, odtwarzającym na wyższym etapie technorozwoju duchowy klimat „Starej, Wesołej Europy", to odegrałaby wielką historiozoficzną rolę. Tak należałoby ocenić zawrócenie z błędnej drogi i przywrócenie dzięki temu przynajmniej części tego cywilizacyjno-kulturowego paradygmatu,

[22] To właśnie jego efekty skłaniają do pesymistycznych konstatacji w rodzaju następującej: „Nigdy więcej żadnych wielkich projektów […]. Trudno jest Europejczykom poradzić sobie z własną przeszłością, której zapewne jest za dużo, aby obecne pokolenia mogły wyciągnąć z niej korzyść", M. Stuermer, *op. cit.*, s. 7. Skoro żadnych wielkich projektów, to przede wszystkim trzeba unikać tego, który przeniknięty jest epickim patosem Wielkiej Rewolucji Antyfrancuskiej, skutecznej w dekonstrukcji eurotradycji. Mozolna próba „odkręcenia Historii" jest reakcyjnym, pozbawionym aureoli Wielkiego Dzieła pomysłem, który nie powinien być *a priori* odrzucany z powodu braku charakterystycznego dla potężnych projektów rozmachu.

© for this edition by CNS

który stanowił o zadziwiającej europejskiej odrębności, zalewanej dzisiaj przez bałwany globalizacji.

Bóg pisze prosto na krzywych liniach, a zatem być może dosyć pokraczna w dzisiejszym instytucjonalnym kształcie UE stanie się po swoim rozpadzie lub przekształceniu w konstrukt bardziej przypominający śp. Europejską Wspólnotę Gospodarczą czynnikiem pomocnym w przezwyciężeniu Europejskiego Wielkiego Kryzysu lub w łagodnym w nim trwaniu, jeśli będzie się on przeciągał, na skutek czego Stary Kontynent pogrąży się w ponowoczesnych Ciemnych Stuleciach, kiedy to *acquis communautaire* będzie obiektem zainteresowania jedynie maleńkiej garstki archeologów prawa.

Istotne jest to, czy inni archeolodzy odnajdą ślady wielkich zaburzeń społeczno-politycznych czy raczej łagodnego schyłku. Realizacja tej drugiej opcji oznaczałaby, że udało się przeprowadzić Europę w bezbolesny sposób przez proces akomodacji do nowych warunków. Nie można nawet wykluczyć, że w jakiejś postaci przetrwa w nich poddana głębokim zmianom Unia, przekształcona w podmiot pozbawiony jej dzisiejszej prawniczo-urzędniczej bezduszności. *Spiritus flat ubi vult*, z czego wynika, że nie można wykluczyć opcji transformacji współczesnej nam ponurej poczwarki w powabnego motyla będącego natchnieniem poetów i mistyków, podobnie jak przez wiele wieków było nim romańsko-germańskie Cesarstwo.

Ta wiekopomna idea jest przez aktualną Unię realizowana w sposób, na jaki stać euroelitę naszych czasów. Nie można jednak wykluczyć, że kiedyś, gdy zwycięzcy napiszą swoją historię, okaże się, że w Brukseli, Luksemburgu i Strasburgu prawno-polityczna eurotradycja miała swoje najpiękniejsze przejawy, dostrzegane dopiero przez hagiografów, którzy jeszcze muszą długo poczekać, zanim przyjdą na świat i ubarwią przeszłość, podobnie jak to już wielokrotnie bywało. W końcu to, co ładnie wymyślone, jest znacznie ciekawsze od siermiężnej prawdy. Jeśli zatem upiększona Eurounia będzie w odległej przyszłości krzepić serca i dodawać otuchy, to stanie się istotnym elementem Wielkiej Europejskiej Tradycji Polityczno-Prawnej, na przekór kwękaniom w rodzaju tego, które właśnie dobiega końca.

© for this edition by CNS